

Stacje życia

**Pracę napisały Paulina Szwejca i Paulina Kałużna
uczennice Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Sicienku**

LEONÓWKA

Tu, 11 stycznia 1924 roku, urodził się Pan Jan Dzwonnik. Był najmłodszym, czwartym dzieckiem w rodzinie. Jego dzieciństwo dalekie było od znanych nam realiów. Jako dziecko musiał pasać bydło i pomagać rodzicom w gospodarstwie, które ojciec budował od podstaw. Na zabawy nie starczało więc czasu.

Najbardziej ekscytującym przeżyciem była dla młodego chłopaka wycieczka do Lwowa zorganizowana przez księdza i kierownika szkoły, do której uczęszczał Pan Jan. Wyjazd trwał trzy dni, a dzieci nocowały w wojskowych koszarach. Najważniejszy jednak był fakt, iż Janek po raz pierwszy jechał pociągiem. Wtedy jeszcze parowym. Nie mógł przypuszczać, że to właśnie w pociągu i na kolejowych stacjach spędzi wiele ważnych chwil w swoim życiu, że w tamtym pociągu zaczęła się jego podróż przez życie i niestety nie będzie w niej ani odrobiny tej pierwszej radości i smakowania nieznanego. Owszem, będzie nieznanne, ale naznaczone strachem, bólem i niepewnością. Wciąż w pociągach, wciąż z miejsca na miejsce. Stacja za stacją.

Szkołę podstawową Pan Jan ukończył w 1939 r. z wynikiem dobrym. Nie miał możliwości uczenia się dalej. We wrześniu rozpoczęła się wojna. Nic już nie było takie samo. Pan Dzwonnik doskonale pamięta chwilę, kiedy po raz pierwszy zobaczył żołnierzy. Było to wojsko radzieckie na stacji Dębowa Karczma. Mężczyźni jechali konno bez siodła, na głowach mieli czapki z czerwonymi gwiazdami. Po dwóch tygodniach od wkroczenia armii radzieckiej w sklepach były pustki. Właściciele wielu z nich musieli po prostu zamknąć sklepy. Największym problemem był brak oświetlenia. Mieszkańcy Leonówki i okolicznych wsi musieli spędzać długie wieczory i noce w zupełnych ciemnościach, bo nie było możliwości, aby kupić naftę do lamp i cylindry, które bardzo często się tłukły. Zaczęły się aresztowania wykształconych ludzi i pracowników urzędów. W 1940 roku zabierano rodziny, których członkowie dwadzieścia lat wcześniej walczyli przeciw sowietom. Ludzie na dwudziestostopniowym mrozie musieli się pakować do dwojga podstawionych sań. Na oddalonej o 12 km stacji kolejowej czekały już na nich wagony towarowe...

W 1941 roku pojawili się Niemcy. Obiecywali mieszkającym w okolicy Ukraińcom wolne państwo, co powodowało nienawiść i agresję wobec Polaków. Całe polskie wioski zostały spalone, a ludzie zabici. Panowały przeraźliwy strach, niepewność

o każdy dzień i rozpacz po tych, co odeszli na zawsze, często bardzo bliskich ludzi, krewnych, sąsiadów i przyjaciół. Pan Jan pracował na kolei. Remontował tory, bo nie było podkładów pod szynami. Trzeba było ścinać dęby w lesie i wykonywać podkłady. Ścięte drzewa musiały być przetransportowane aż cztery kilometry. Wymagało to ogromnego wysiłku.

Pan Jan po raz ostatni widział wtedy swoją ukochaną Leonówkę. Serce pękało mu z żalu, kiedy patrzył na zgliszcza w miejscu domów i ogrodów.

SIENKIEWICZÓWKA

Nikt nie mógł dłużej zostać w Leonówce, ponieważ wszystkim groziła śmierć z rąk oprawców, barbarzyńców i bandytów. Nazajutrz Polacy wyjechali do Sienkiewiczówki, zostawiając cały swój dobytek. Nie mieli szans na skuteczną obronę i poczucie bezpieczeństwa. W Leonówce pozostał jedynie starszy wiekiem kowal Chmiel. Myślał, że skoro wykonywał tylko usługi kowalskie, to nic mu nie grozi. Bardzo się mylił. Został zamordowany, a jego budynki spalone.

W Sienkiewiczówce pan Jan zamieszkał z całą rodziną na dworcu kolejowym, jego brat Stanisław pracował na stacji kolejowej.

Wojsko niemieckie mające za zadanie ochronę gminy dało Polakom trochę broni. W dzień było spokojnie, ale w nocy wybuchały pożary. Często płonęły całe wsie. Niewinni ludzie doświadczali gehenny. Nie tylko ginęli w ogniu czy od kul. Śmierć bardzo często była bolesna i okrutna. Mężczyźni ginęli mordowani siekierami, a nawet przetrnięci piłami.

W czerwcu rodzina Dzwonników postanowiła wyjechać do Łucka. Na wyjazd zdecydowali się także inni. Dzień później transport liczący około 80 wozów, ochraniający przez 100 uzbrojonych mężczyzn, wyruszył w drogę. Do wozów przywiązane były krowy .

Pierwszego dnia dojechali do Nieświcza oddalonego od Sienkiewiczówki o 20 km. Było tam jeszcze trochę wojska niemieckiego, więc na noc organizowano posterunki bojowe. Wtedy właśnie pan Jan zobaczył pierwszy raz ciężki karabin maszynowy, którym nauczył się posługiwać.

ŁUCK

24 czerwca, w dniu imienin pana Jana, ruszyli w dalszą drogę. Około 6 km przed Łuckiem w miejscowości Górka Połonka, zostali ostrzelani z pobliskiego lasu. Wojsko pociskami zapalającymi podpaliło pobliskie budynki pokryte słomą. W ten sposób powstała zasłona dymna, która umożliwiała im ucieczkę. Rodzina pana Jana odłączyła się i pojechała do znajomych - Ireny i Henryka Gałan. Mieszkali razem do grudnia 1943 roku. Przed świętami Bożego Narodzenia przyjaciele wyjechali do Lublina, natomiast państwo Dzwonnik zostali w ich mieszkaniu.

Pan Jan pracował na kolei i jednocześnie wstąpił do Polskiego Związku Zbrojnego. Przyjął tę propozycję, choć nie zdawał sobie sprawy, jakie ta decyzja będzie miała konsekwencje. Brygada remontowa, do której go przydzielono, codziennie jeździła na stację w Kiwercach na trasie Kowel-Równe. Zadaniem Janka było zdawanie raportów o tym, jakie transporty jadą na wschód, a jakie ze wschodu na zachód. Front wojenny zbliżał się od wschodu dosyć szybko, wojska ZSRR odnosiły zwycięstwa. Pracy było coraz więcej. Tory kolejowe były niszczone w ciągu dnia na wskutek bombardowań, a w nocy - przez partyzantkę. Praca była tak ciężka, że młody mężczyzna postanowił ją porzucić i wyjechać do brata na placówkę samoobrony w Pańskiej Dolinie oddalonej o 20 km od Łucka. Kiedy brat Stanisław odwiedził rodzinę, Janek podjął decyzję. Mama odprowadzała ich do bramy i płakała, prosząc by syn został. Jego odejście pozbawiłoby rodziców kartek na chleb, a zapasy z Leonówki już się wyczerpały. Także Stasiu nalegał, aby brat zaopiekował się rodzicami. To właśnie wówczas bracia widzieli się ostatni raz. Kilka tygodni później Stanisław zginął, mając zaledwie 31 lat.

W nocy z 1. na 2. lutego 1944 r. było słychać strzały. Rano sowieckie wojsko wkroczyło do Łucka. Po tygodniu mężczyźni pracujący na kolei musieli się stawić do pracy. Brygada remontowa, w której pan Jan znowu pracował, miała dużo zajęć, gdyż Niemcy minami porozrywali szyny w kierunku na Kiwerce, a na trasie Łuck-Lwów Ukraińcy pozabierali podkłady spod szyn a nawet szyny kolejowe. W końcu kwietnia 1944 r. ogłoszono mobilizację dla mężczyzn w wieku 18-45 lat. Pracownicy kolei dostawali tzw. bronirowki, czyli zaświadczenia, że do końca wojny są zwolnieni ze służby wojskowej. Jan bardzo chciał zgłosić się do wojska i walczyć, jednak ojciec "wybił mu to z głowy", nie chciał stracić drugiego syna. Pan Dzwonnik pozostał więc w domu i dalej pracował na kolei. Wciąż trzeba było remontować tory. Pan Dzwonnik na krótki czas wrócił wówczas do rodzinnej wsi, bo został zakwaterowany w Sienkiewiczówce. Serce pękało mu z żalu, gdy patrzył na ogrom zniszczeń. Nigdy więcej nie widział już Leonówki.

CELA NR 7

W nocy z 2 na 3 stycznia Jan Dzwonnik został aresztowany przez NKWD. Przyszedł po niego oficer, dwóch podoficerów i trzech żołnierzy. Przeprowadzili go do Komendy Wydziału Śledczego oddalonego o 2 km. Na przywitanie pułkownik uderzył pana Jana w twarz za to, że „chce Polski od morza do morza”. Zrobiono mu osobistą rewizję. Zabrano pasek od spodni i zegarek, mówiąc, że te przedmioty nie będą mu już potrzebne. Potem prowadzono go korytarzem, na którym stało wielu ludzi odwróconych twarzą do ściany, z rękoma założonymi z tyłu głowy. Wartownicy krzykali, żeby nikt się nie oglądał. W końcu pan Dzwonnik trafił do suteryny budynku. Tu znajdowały się cele aresztowanych. W celi nr 7, w której go osadzono, było już dwóch mężczyzn, potem przyprowadzono jeszcze pięciu. W rogu przy drzwiach stała beczka. To była ubikacja. Uwięzieni spali na cementowej podłodze. Za siennik i koc służył mężczyźnie ciepły płaszcz, który miał ze sobą. Na ścianach celi były wydrapane różne nazwiska. Między innymi pan Jan znalazł nazwisko Rebembauer – nazwisko kierownika szkoły w Hubinie, do której chodził Jan jeszcze kilka lat temu. Jan z przerażeniem odczytał informację, że w grudniu 1944 roku jego nauczyciel został skazany na 15 lat ciężkich robót i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich jako wróg ZSRR i komunizmu.

Przesłuchania odbywały się najczęściej po godzinie dwudziestej pierwszej i przed południem. Po raz pierwszy pan Jan był przesłuchiwany 4 stycznia. Przy drugim przesłuchaniu oficer kazał mu od razu klękać na kolana. W tej pozycji pozostał przez pół godziny. Podczas trzeciego przesłuchania Janek siedział na taborecie w rogu pokoju. Przesłuchujący chwycił go za włosy i głową uderzał o ścianę, krzycząc, że trzeba mówić prawdę, bo „Moskwa łom nie wierzy”. Następnie przeniesiono wyczerpanego chłopaka do maleńkiej sali nr 3, w której było już dwóch starszych mężczyzn.

Kolejne przesłuchania były częste i brutalne. Pewnego razu przesłuchujący kazał mu się rozebrać do kalesonów i nakazał strażnikowi, żeby wyprowadził więźnia do ogrodu i zabił jak psa. Strażnicy znęcali się nad mężczyznami fizycznie i psychicznie. Nieraz pozbawiali pożywienia, wzywali na przesłuchania w czasie, gdy wydawany był posiłek, ludzie przez kilka dni nie mieli nic w ustach. Racje żywnościowe były głodowe. Młodzi, silni mężczyźni dostawali na śniadanie kromkę czarnego

chleba i kubek przegotowanej wody, na obiad kubek zupy z pastewnych buraków, a na kolację kubek gorącej wody tzw. Kipiatok.

NKWD-ziści gotowi byli na rozkaz lub dla zdobycia awansu zrobić z osadzonymi wszystko. Więźniowie nie byli dla nich ludźmi. W celach nie było wody ani łaźni, a więc nie nikt nie mógł się umyć. Zaczęły pojawiać się myszy. Najgorsza była izolatka. Pan Jan siedział w niej przez 4 godziny po jednym z przesłuchań. Przesłuchujący drwili, że bez względu na zeznania i tak zostanie skazany. Informacje o działalności w Polskim Związku Zbrojnym przekazał NKWD Strużyk – kolega pana Dzwonnika aresztowany w grudniu 1944 roku. Podczas konfrontacji pan Jan nie poznał znajomego, bo jego twarz była cała w sińcach, głowę miał ogoloną.

Pan Jan z powrotem został przeniesiony do sali nr 7. W celi siedziało 20 osób, wśród nich znajomi Jana. Z jednym z kolegów przez 6 tygodni spali obok siebie na jednej jesionce, okryci płaszczem jednego z nich. W nocy bywało bardzo zimno. Na zewnątrz temperatura dochodziła do minus 30 stopni. Przyjaciel, który był lekarzem, został skazany na 6 lat za to, że leczył Niemców. Z każdym dniem w celach robiło się coraz ciasniej. Doszło do tego, że w nocy nie było miejsca, żeby się położyć. W dzień strażnicy nie pozwalali spać. Co pewien czas zaglądali przez tzw. „wziernik”, czyli okienko w drzwiach. Celem takiego postępowania było umęczenie psychiczne i fizyczne osadzonych.

Proces pana Dzwonnika rozpoczął się 19 marca. W sali, do której wprowadzono go wraz z innymi ośmioma oskarżonymi, czekało już trzech sędziów wojskowych. Przy drzwiach stało dwóch żołnierzy z bagnietami na karabinach, gotowi do strzału. Rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych, żadnych świadków, żadnych obrońców. Sędzia odczytał imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia każdego z „oskarżonych”. Prokurator zaczął uzasadniać oskarżenie, mówiąc m.in., że tu, na tej sali, są wrogowie ZSRR i wrogowie komunizmu, chcieli Polski od morza do morza, agitowali, żeby Polacy nie wyjeżdżali za Bug. Żądał kary dziesięciu lat pobytu w obozie pracy i trzech lata pozbawienia praw obywatelskich. Pan Jan został skazany na osiem lat pobytu w obozie pracy i trzy lata pozbawienia praw obywatelskich. Inni nawet na dziesięć lub piętnaście.

KIJÓW

Po wyroku nie wracali już do cel. Czekali na korytarzu. Każdy z nich zastanawiał się, co z nimi zrobią i jaki spotka ich los. Nie wolno było rozmawiać. Siedzieli na korytarzu na cemencie około dwóch godziny. Pan Jan myślał o rodzinie. Czy jeszcze zobaczy swoich najbliższych? Czy przeżyje? Pozostało mu poddać się woli Boga i w nim pokładać nadzieję. Skazanych przewieziono do więzienia w Łucku. Pan Dzwonnik spędził tam kilka tygodni. 12 maja rano więźniów wyprowadzono na plac. Po raz pierwszy tego roku zobaczył, jak piękna jest wiosna. Dzień wcześniej mężczyźni byli w łaźni, dostali czystą bieliznę. Na placu stało około 1000 osób. Każdy dostał trzy solone śledzie i około 1 kg czarnego chleba. To był prowiant na trzy dni. Ludzi wyprowadzono na stację kolejową. Cały czas towarzyszyli im strażnicy z psami i karabinami. Mieli rozkaz, by strzelać bez ostrzeżenia.

Przyjechali do Kijowa. Były tam nie tylko wszy, ale i pluskwy, które nie dawały spać. Wyżywienie było bardzo kiepskie. Pan Jan wspominał nieraz, że w Leonówce świnie były lepiej karmione. Po miesiącu zaczęły się przygotowania do transportu - łaźnie, czysta bielizna, ubranie do dezynfekcji, czyli do „żarówki”. Na stacji kolejowej czekał na nich pociąg. Jechali pięć dni. Codziennie dostawali po 30 dkg chleba, jednego śledzia i wiadro wody na wagon. Rano wagony były sprawdzana drewnianym młotkiem, a „pasażerowie” liczeni.

MOŁOTOWSK

Pan Jan znalazł się w Mołotowsku nad Białym Morzem. Było to miasto obozów koncentracyjnych. Obóz, w którym się znalazł, pobudowany był na bagnach. Od bramy wejściowej chodziło się tylko po drodze wyłożonej drągami z drzew. Wszędzie była woda. Po kilku dniach odbył się nabór chętnych do pracy na budowie. Pan Dzwonnik wraz z innymi ochotnikami pracował w mieście przy budowie klubu. W pracy dostawali na obiad pół litra owsianki, a jak ta się skończyła, zupy z pokrzywy i jedną łyżkę kaszy z kukurydzy. Taką samą porcję dostawali w obozie, po powrocie z pracy. Pan Jan tęsknił za domem. Napisał list do zaprzyjaźnionych z rodzicami Czechów mieszkających w Leonówce. Miał nadzieję, że wiedzą, gdzie są jego rodzice. Mijały tygodnie i miesiące. Nie było żadnych wieści od bliskich. 2 lutego 1946 roku w święto Matki Boskiej Gromnicznej pan Dzwonnik dostał wiadomość, że ma zgłosić się do dyżurnego. Własnym oczom nie wierzył, dostał list datowany 11 listopada 1945 r. Czesi z Leonówki powiadomili jego bliskich. Rodzina pana Jana mieszkała teraz w Pabianicach przy ulicy Polnej.

ARCHANGIELSK

Był lipiec 1946 roku. Mężczyzna został przydzielony do małego obozu w centrum miasta. Pracował jako tynkarz. Budował domy i robił remonty w mieszkaniach oficerów NKWD. Raz w miesiącu szedł do miejskiej łaźni. Przed wejściem pod prysznic dostawał łyżeczkę mydła, które wyglądem przypominało powidła ze śliwek. W łaźni widać było, jak wszyscy byli wychudzeni. W Mołotowsku pan Jan ważył 40 kg, w Archangielsku 43 kg. Więźniowie pracowali po 10 godzin od 7 do 17. Czasami znalazła się jakaś „dobra dusza” i dała im coś do zjedzenia, w tajemnicy przed strażnikami. Mijały tygodnie i miesiące. Dni prawie nie różniły się od siebie. W połowie lutego 1943 r. w stołówce podczas śniadania brygadzysta powiedział, że nie ma iść do pracy i zostać w obozie do dyspozycji oficera dyżurnego. Gdy brygada poszła do pracy, dyżurny obozowy przyszedł do baraku, w którym mieszkał pan Jan i kazał mu z rzeczami stawić się w dyżurce. Mężczyznę zaprowadzono do więzienia znajdującego się w lewej części Archangielska. W celi było już trzech więźniów. Siedzieli tak przez dwa tygodnie. Nikt im nie mówił, co z nimi będzie. Dopiero w marcu 40 więźniów, w tym pan Jan, w asyście konwojentów zaprowadzono na stację kolejową, na której stały specjalne wagony, przeznaczone do przewożenia więźniów, tzw. więźniarki. Jechali przez trzy doby, aż dotarli do Moskwy. Rozmieścili ich po paru w celach o zaostrzonym rygorze. Spali na podłodze z desek. Każdy miał koc. Do wspólnej umywalni i ubikacji wyprowadzani byli kolejno celami. Więźniów wciąż przybywało. W kwietniu 1948 r. było już tak ciasno, że w nocy leżał jeden obok drugiego. Któregoś kwietniowego dnia dyżurny otworzył celę i zaczął wyczytywać nazwiska. Wywołani wychodzili na korytarz ze swoimi rzeczami. Na korytarzu było już sporo więźniów, wszyscy odwróceny twarzą do ściany. Wieczorem podjechały samochody. Oficer NKWD jak zawsze ostrzegł, że jak ktoś będzie próbował uciekać, to będą strzelać bez ostrzeżenia. Przewieźli ich na dworzec białoruski. Załadowali do wagonów. Nikt nie wiedział, dokąd pojedą. Ludzie byli niemiłosiernie głodni. Na drugi dzień ktoś z wagonu przeczytał, że są w Mińsku. Zaczęli mieć nadzieję, że wracają do Polski. Nad ranem dojechali do Brześcia nad Bugiem. Wysiedli z pociągu. Pilnowali ich NKWD-ziści, tym razem uzbrojeni w automaty. Przeszli około 3 kilometry, by trafić... znowu do obozu. Pan Jan przebywał tam do 22 kwietnia 1948 roku. Tego dnia znów znalazł się na stacji kolejowej i w bydlęcym wagonie wyruszył ku kolejnej stacji.

WIERZCHUCINEK

Po dwóch godzinach pociąg zatrzymał się. Wagony otworzyli polscy oficerowie. Zakomunikowali, że są w Białej Podlasce, że są wolnymi obywatelami Polski Ludowej. Dostali zaświadczenie służące jako dokument tożsamości oraz bilet na przejazd w dowolne miejsce. Jadąc przez miasto, pan Jan nie wierzył własnym oczom – przez okna wystawowe widać było sklepy zaopatrzone w pieczywo, wędlinę, słodycze. Białego pieczywa nie widział przez cały czas pobytu w ZSRR. Na dworcu centralnym w Łodzi był Polski Urząd Repatriacyjny. Tam się zameldował. Dostał koszulę, 200 złotych na przeżycie dwóch dni, mydło i 10 dkg czekolady. Po czterech latach przypomniał sobie, jaki ma smak. Następnie wyruszył do Pabianic, aby odnaleźć najbliższych. Jako pierwszą zobaczył siostrę Bronię. Poznał ją od razu, ona jego nie. Miał wąsy, był nieogolony, ubrany w watówkę. Zapanowała niewiarygodna radość, popłynęły łzy szczęścia. Wkrótce spotkał się z rodzicami. Nie wierzył, że jest wolny, i że nie ma za nim konwojenta. Późną jesienią 1948 roku postanowił spotkać się z Klarą, którą znał jeszcze z Leonówki, a która teraz mieszkała w Wierzchucinku. Pojechał pod Bydgoszcz. Drugie spotkanie odbyło się kilka miesięcy później. Ich ślub odbył się 2 października 1949 roku w Byszewie .

Wierzchucinek to ostatnia stacja w życiu pana Jana Dzwonnika. Na niej znalazł spokój, miłość i szczęście.

Życie człowieka jest jak podróż – długa, nieprzewidywalna, często niebezpieczna, pełna cierpień i bólu, wypełniona troskami, niepokojem, tęsknotą. Jest to jednak niezwykła wędrówka. Każda jest niepowtarzalna. Podczas tej drogi mijamy wiele przystanków i stacji. Są to ważne wydarzenia, które zmieniają wszystko i sprawiają, że dalsza droga jest już zupełnie. Inne zdarzenia wydają się być błahe i nieistotne. Do niektórych miejsc pragniemy wrócić, od innych chcemy jak najszybciej uciec i zapomnieć o nich. Przeżywamy wiele różnych chwil. Niektóre z nich na zawsze pozostaną w naszej pamięci. Tyle stacji, a na nich ludzie – ważni, kochani, bliscy, z którymi przyszło nam podróżować lub tęsknić za nimi podczas drogi, i tacy, którzy krzywdzą i sprawiają ból. Każda stacja jest ważna, bo dzięki nim posuwamy się naprzód, zdobywamy doświadczenie, uczymy się, dojrzewamy, zmieniamy się i kształtujemy. Podróż każdego człowieka jest inna. Są jednak szczególne wędrówki.

Taką podróżą było życie Pana Jana Dzwonnika. To droga, która uczy nas, młodych ludzi. Bogactwo przeżyć, o których usłyszałyśmy, bardzo nas poruszyło. Po spotkaniach z panem Janem długo rozmawiałyśmy, nie mogłyśmy przestać myśleć o jego życiu. Trudno nam sobie wyobrazić, co przeżył.

Pan Jan opowiadał, jak bardzo był podekscytowany i zachwycony swoją pierwszą podróżą pociągiem do Lwowa. Wtedy nie mógł nawet przypuszczać, że jego życie tak bardzo będzie związane z koleją. Przez długi czas podczas wojny mieszkał i pracował na stacjach kolejowych. Przydzielono go do brygady remontowej, której obowiązkiem była naprawa torów. Zajęcie było trudne i wycieńczające. Wymagało ogromnej siły, bo mężczyźni musieli ścinać wielkie drzewa i transportować je kilka kilometrów. Tylko czasami mieli do pomocy wojskowe konie. Zajęcie było tak męczące, iż mężczyzna chciał opuścić to

miejsce. Brat jednak nalegał, aby Jan zaopiekował się rodzicami. Odejście syna pozbawiłoby rodziców katek na chleb, a to znaczyło głód. To właśnie wtedy widział brata się po raz ostatni. Kilka tygodni później Stanisław zginął.

Kilka razy Pan Jan znajdował się na stacjach jako pasażer pociągów, w których po aresztowaniu przez NKWD transportowany był do kolejnych miejsc. Podróże odbywały się w specjalnych wagonach przeznaczonych do przewożenia więźniów, zwanych "więźniarkami". Tak naprawdę były to wagony przystosowane do przewozu bydła. Mieściły około 40 osób – ściśniętych, przemarzniętych, wiezionych przez wiele godzin bez jedzenia, wody, możliwości załatwienia potrzeb fizjologicznych. Za każdym razem, gdy prowadzano więźniów na stację, mężczyźni szli w asyście konwojentów z psami i karabinami. Nie było możliwości ucieczki. Każdego ranka pasażerowie byli liczeni, a wagony sprawdzano drewnianym młotkiem.

Pan Dzwonnik związany był ze stacjami kolejowymi nie tylko w dosłowny sposób, jako pracownik lub pasażer – więzień. Stacje to także ważne wydarzenia w życiu naszego sąsiada. Doświadczył aresztowania, okrutnego przesłuchania, został bezpodstawnie skazany i wywieziony z dala od rodzinnych stron. Był traktowany nieludzko. W celi nr 7, w której został osadzony po aresztowaniu przez NKWD, warunki były nieludzkie. W rogu przy drzwiach stała beczka. To była ubikacja. Uwięzieni spali na cementowej podłodze. Za siennik i koc służył mężczyźnie ciepły płaszcz, który miał ze sobą. Nie było wody ani łaźni. Z brudu załęgły się myszy, z którymi musieli męczyć się osadzeni. Pan Janek wraz z innymi najczęściej przesłuchiwany był po godzinie 21-szej i przed południem, często wtedy, gdy rozdawano posiłek, żeby więźniowie zostali go pozbawieni. Takie postępowanie miało wykończyć więźniów nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Kiedy człowiekowi doskwiera

głód, jest w stanie zrobić wiele rzeczy, nawet takich wbrew sobie. Pan Dzwonnik wciąż cierpiał okrutny głód. Jako dorosły mężczyzna ważył 40 kg. Rarytasem była kromka czarnego chleba i kubek przegotowanej wody, na obiad kubek zupy z pastewnych buraków, a na kolację znów kubek gorącej wody. W Kijowie trzy solone śledzie i kilogram czarnego chleba musiały starczyć ciężko pracującemu mężczyźnie na trzy dni. Pan Dzwonnik często myślał o tym, że w Leonówce lepiej karmiono świnie. Podczas przesłuchań oficer kazał mu klękać na kolana i pozostawać w tej pozycji bez ruchu. Ciało mdlało i odmawiało posłuszeństwa. Ludzie nie poznawali znajomych, bo golono głowy i bito tak, że twarz była zdeformowana i cała w sińcach. Przesłuchania były częste i brutalne. Przesłuchujący chwycił Pana Jana za włosy i jego głową uderzał o ścianę. Pewnego razu mężczyzna musiał rozebrać się do kalesonów, a strażnik otrzymał rozkaz wyprowadzić go do ogrodu i zabić jak psa. Pan Jan był pewien, że to jego ostatnie chwile. Ludzie nie wiedzieli, za co spotyka ich takie upokorzenie ani co się z nimi stanie. Przeczuwali, że nie wrócą szybko do domu, bo wyroki były długie i niesprawiedliwe. Pan Jan został skazany na osiem lat w obozie pracy. W jego życiu znów przyszedł czas kolejnej podróży. Kolejna stacja, na której się znalazł to Kijów, potem Mołotowsk i Archangielsk, a tam ciężka praca za porcję zupy z pokrzyw i łyżkę kaszy kukurydzianej, wszy, pchły, ciasne cele, w których mężczyźni nie mogli się w ogóle ruszyć, a spali jeden obok drugiego.

Najgorsza jednak była rozłąka z rodziną i ukochanym miejscem na ziemi, czyli małą ojczyzną. Pan Jan z rozrzewnieniem i tęsknotą opowiada o pokrytym białą blachą ukochanym domu w Leonówce. Wciąż go pamięta i nosi w sercu. Tu była jego przystań, jego miejsce na ziemi. Z tego miejsca musiał jednak wyruszyć w bardzo długą podróż swojego życia. Przez cały ten czas tęsknił za rodzinną wioską. To dla nas bardzo wzruszające, z jaką miłością tak dojrzały człowiek mówi o swoim domu.

W celach i obozach pracy wciąż myślał o najbliższych. Próbował się kontaktować z rodziną. To właśnie nadzieja, że jego rodzice i rodzeństwo żyją, dawała Panu Dzwonnikowi siły do pracy i życia w tych trudnych warunkach. Mężczyzna ze wzruszeniem opowiadał nam o chwili, kiedy spotkał wreszcie swoją ukochaną siostrę Bronisławę. Poznał ją od razu, ona go nie, bo jego ciało i twarz były zniszczone i zmienione długą tułaczką. Zapanowała wtedy niewiarygodna radość i popłynęły łzy szczęścia.

Ostatnią stacją w życiu pana Jana jest Wierzchucinek pod Bydgoszczą. Tu znalazł spokój, miłość oraz szczęście. Cieszymy się bardzo, że ktoś taki mieszka w naszej okolicy. Jego doświadczenia pokazują, że życie jest trudną do przewidzenia wędrówką. Są stacje, które chcemy jak najszybciej opuścić, zapomnieć o nich, bo sprawiają ból i cierpienie. Inne są pełne szczęścia, radości, spotkań z dobrymi ludźmi. Warto jednak wytrwale każdego dnia iść naprzód, wciąż mieć nadzieję i dążyć do stacji, na której znajdziemy swoje szczęście.



Jan Dzwonnik urodził się 11 stycznia 1924 roku w Leonówce, w powiecie łuckim, w województwie łowińskim. Jego rodzice, Zofia i Jan, mieli czworo dzieci - Bronisławę, Stanisława, Marię i najmłodszego syna Jana. Od 1941 roku był świadkiem napaści Ukraińców na ludność polską. W 1944 roku został aresztowany przez NKWD, przesłuchiwany i torturowany, a następnie skazany na osiem lat pobytu w obozie pracy i trzy lata pozbawienia praw obywatelskich. Łuck, Kijów, Mołotowsk i Archangielsk to miejsca, w których pracował jako więzień. Po wojnie Pan Jan prowadził gospodarstwo rolne. Aktualnie mieszka w Wierzchucinku wraz z żoną Klarą. Pan Jan ma pięcioro dzieci i dziesięcioro wnuków.

